

Tadeusz Mikulski

Walka o język polski w czasach Oświecenia

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 42/3-4, 796-815

1951

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

ZAGADNIENIA JĘZYKA ARTYSTYCZNEGO

TADEUSZ MIKULSKI

WALKA O JĘZYK POLSKI W CZASACH OŚWIECENIA¹

1

U progu nowych badań nad Oświeceniem, które rozpoczęła nasza epoka, położyliśmy dwie tezy, przede wszystkim wartości roboczej.

Teza pierwsza przekreśliła związek między Oświeceniem i literaturą staropolską. Widzimy to z wielką wyrazistością: nie można utrzymać w jednym zespole tego bloku dwu odmiennych kultur, literatur — i ustrojów społecznych. Właśnie historyk gospodarczy dostrzega coraz więcej elementów przemiany zasadniczej: od feudalizmu do układu kapitalistycznego w podstawach politycznych i ekonomicznych państwa za Stanisława Augusta. Zmianom w strukturze gospodarczej towarzyszą z wielką prawidłowością zjawiska kultury, które czasom Stanisława Augusta nadają cechę nowożytną. Epoka stanisławowska ma wyraźną świadomość, że rozpoczyna nowy rozdział w historii i kształtuje z wielką siłą opozycyjny stosunek do przeszłości. Prekursorskie elementy Oświecenia pojawiają się dość licznie w czasach saskich, typowej epoce przejściowej, niejednolitej, pełnej sprzeczności. Oświecenie rozwija się z tych twórczych wątków kulturalnych, ale czyni to z wielką energią, wspaniałym skokiem umysłowym i z pełną świadomością dokonanego przełomu.

Teza druga postawiła zagadnienie periodyzacji wewnętrznej Oświecenia. Trzydziestolecie Stanisława Augusta, odcięte — chyba ostatecznie — od tradycji staropolskiej, jest epoką pełną życia

¹ Wykład na inauguracji r. ak. 1951/1952 w Uniwersytecie Wrocławskim, wygłoszony 1 X 1951. Autor zamierza powrócić w czasie najbliższym do zagadnienia walki o język polski w czasach Oświecenia — w rozprawie obszerniejszej, do której odkłada rozbudowę materiału i pominięty tutaj aparat erudycyjny.

i nagromadzonej dynamiki twórczości. Wewnątrz tego bogatego okresu trzeba położyć daty chronologiczne nie tylko z intencją porządkującą, ale przede wszystkim dlatego, by wskazać kierunek i uchwycić charakter rozwoju.

Epoka stanisławowska, pojmowana na ogół w badaniach tradycyjnych jako okres jednolity, stanowi trzy zespoły historyczne, o wymowie także literackiej. Okres pierwszy — od r. 1764, daty narzuconej przez kalendarz historyczny, po rok 1780 — ma przekształcić Polskę w „królestwo rozumu”. To okres *Monitora*, *Zabaw Przyjemnych* i *Pożytecznych*, a więc czas dyskusji publicystycznej i satyry, uprawiania dydaktycznych rodzajów literackich, które mają wychować obywatela „oświeconego”. Ale już Jezierski, *Wulkan Kuźnicy*, wiedział zupełnie jasno, że był to zamiar zbyt „chępliwy” (o jego rozczarowaniu do ideologii okresu świadczy wymownie hasło *Oświecenie* w książce *Niektóre wyrazy porządkiem abecadla zebrane z r. 1791*). Upadek kodeksu Zamoyskiego na sejmie 1780 r. przekonał reformatorów stanisławowskich, że morały mędrca Xaoo na wyspie Nipu, których słucha cierpliwie Mikołaj Doświadczyński, młody wisus szlachecki, a potem wielosłowny monolog Pana Podstolego — nie zdały się na nic.

Gdy zawiodła dydaktyka romansu i perswazja satyry, wybuchła walka polityczna, mająca za tło sesję sejmu czteroletniego. Rodzaje literackie, dotychczas świadomie nauczające (w literaturze pięknej, czasopiśmiennictwie, teatrze), ulegają wyraźnej i ciekawej przemianie — od pedagogiki społecznej do działania politycznego. Literatura nowej epoki już nie mieści się w szczupłych numerach *Monitora*, które Wawrzyniec Mitzler de Koloff tłoczy w małej oktawce dwa razy w tygodniu. Poeci *Zabaw Przyjemnych* i *Pożytecznych* wypowiedzieli już wszystkie pochwały pod adresem króla, gospodarza obiadów czwartkowych. I „królestwo rozumu”, tak łatwe do zdobycia, rozsypało się w gruzy, zanim zdołano je naprawdę zbudować.

Literatura zmieniła teraz cały swój wygląd: z gatunków dydaktycznych rozwinęły się ich postaci polityczne — pamflet z satyry, bajka aktualna z apologu Ezopa, teatr polityczny z teatru obyczajów, powieść polityczna z beletrystyki Krasickiego, broszura ulotna z artykułu *Monitora*. To przezbrowienie literatury odbywa się do wtóru mowy sejmowej i dyskusji projektów konstytucji. W ramach układu kapitalistycznego pojawiają się

załączki nowej formacji społecznej: narodu burżuazyjnego. Warszawa Stanisława Augusta rośnie liczebnością dworu, zdobi się siedzibami magnatów, zagarnia mieszczaństwo kapitalistyczne, hierarchizuje dość ściśle stan trzeci, wyłącza proletariat miejski (proces, który jakże kolorowo można oglądać w malarstwie Canaletta) — i uzyskuje w ten sposób, po raz pierwszy w swoich dziejach, charakter — jak mówi wiek XVIII — „stoliczny”. Cały ten żywy ruch działania, słowa, opinii ma wydźwięk tragiczny: konstytucja 3 maja, mimo swojej kompromisowości, poprzedza za ledwie — konfederację targowicką.

Okres trzeci, od Targowicy do upadku państwa, wyzwala w życiu narastające już poprzednio elementy rewolucyjne, jakobińskie, wprowadza pospólstwo nie tylko jako hasło leksykograficzne (u Jezierskiego), ale także do walki i twórczości. Ta nowa sytuacja społeczna ma bowiem swoje następstwa literackie — w poezji jakobinów, w piosence ulicznej, w arii śpiewanej między aktami *Krakowiaków i Górali*.

Teza chronologii wewnętrznej czasów Stanisława Augusta nie tylko porządkuje materiał literacki, ale wiąże go z przemianami życia politycznego i społecznego, wykrywa dialektykę epoki.

Te dwa założenia ogólne, z których pierwsze odcieło czasy stanisławowskie od tradycji staropolskiej, drugie ujawniło rozwój wewnętrzny okresu, przygotowują nową ocenę Oświecenia w historii kultury narodowej.

2

W przeglądzie elementów, które ustalają' nowożytny charakter Oświecenia, musi pojawić się przede wszystkim język, jako narzędzie społeczne i narzędzie literatury. Gdyśmy rysowali tak mocno granicę między Oświeceniem i piśmiennictwem starej Polski, jednym z najsilniejszych argumentów za uzasadnieniem tego podziału powinien by być język dawnej i nowej epoki. Przeoczyliśmy to podstawowe zagadnienie. Dziś łatwo je wysunąć — w toku dyskusji, coraz szerszej i coraz bardziej zasadniczej, która toczy się wokół przełomowych wypowiedzi Józefa Stalina na temat roli, jaką język spełnia w życiu narodu.

Sam materiał przypomina punkty wyjściowe. W czasach stanisławowskich, wraz z narastającą krytyką feudalizmu jako struktury społecznej i gospodarczej, w formie załączkowej, ale zupełnie wyraźnie powstaje układ kapitalistyczny. Temu rozwojowi towa-

rzyszy stopniowy proces powstawania i krzepnięcia świadomości narodowej, wywodzący się jeszcze z przełomu średniowiecza i Odrodzenia, żywy za Renesansu, ale później, w sytuacji kulturalnej w. XVII i czasów saskich, przykro i jednostronnie zwichnięty. Oświecenie, które stanowi ważny etap w formowaniu się narodu, zdołało wykształcić i narzucić całej epoce ogólną świadomość językową jako organ wypowiedzi społecznej.

Trzydziestolecie Stanisława Augusta ceni druk, słowo, wypowiada się chętnie dziełem literackim, wszystkimi zabiegami twórczości. Także dla poszukiwań, które rozpoczynamy, epoka zostawiła materiał dokumentacyjny bardzo bogaty, ścisły, dokładnie określający poszczególne etapy rozwoju. Czytajmy zatem.

Oto *Rozmowa o języku polskim* Franciszka Bohomolca, ważny dokument epoki przejściowej. Z tekstu łacińskiego (r. 1752) przełożył ją niby i znacznie rozszerzył Ksawery Leski, chorążyc malborski (a uczynił to po to, by Bohomolec mógł dołączyć pismo do *Zabawek poetyckich niektórych kawalerów Akademii Szlacheckiej Warszawskiej Societatis Jesu* w r. 1758). Ale manewry redaktorskie nie zwiódą dzisiejszego czytelnika: trzeba było tęższej głowy, nie chorążycyca malborskiego, by odbyć w r. 1758 — nawet po głośnym wystąpieniu Konarskiego *De emendandis eloquentiae vitiis* — podobną *Rozmowę o języku polskim*. W istocie toczą ją na polach elizejskich, tuż pod wiosłem Charona, Jan Kochanowski i Samuel Twardowski. Radzi by słyszeć nowiny z Rzeczypospolitej, jak kwitnie w Polsce nauka? Ale kogo o to zagadnąć?

TWARDOWSKI

Już się tu Charon zbliża. Patrz jeno! Ten, który teraz wysiada, zda się być Polak.

KOCHANOWSKI

Dobrze mówisz. Twarz i postać jego pokazuje, że musi być Polak.

TWARDOWSKI

Zbliżmy się ku niemu.

KOCHANOWSKI

Idźmy... Witamy cię, gościu, i cieszymy się z twego do nas przybycia.

Na to słowo czarnoleskie odpowiada pan Makaroński, który wysiadł właśnie z łodzi Charonowej, językiem zupełnie nieoczekiwanym:

MAKAROŃSKI

Dla mnie to jest *solatium* nieskomparowane, że po krytycznych życia mojego ewentach, *terris iactatus et alto*, przybiłem się *tandem aliquando*

do portu pożądanego, gdzie mi *propitia numina* pozwalają cieszyć się w tak miłej z wami kompanii.

Już z uciechą śledzimy dalszy dialog, patrząc na facecję, którą biegłym piórem prowadzi wesoły ksiądz Bohomolec. Bo tylko Kochanowski nie przejrzał gry od razu. I zdumiony pyta:

KOCHANOWSKI

Skądś rodem, przyjacielu?

MAKAROŃSKI

Z Polskiej.

KOCHANOWSKI

Więc jesteś Polak rodowity?

MAKAROŃSKI

Et quidem in ipso meditullio tego państwa prognatus.

KOCHANOWSKI

Czymżeś się bawił za życia?

W miarę jak toczy się ta dziwaczna rozmowa na polach elizejskich, Kochanowski zaczyna chwytąć przedziwną arlekinadę językową czasów saskich i występuje jako żarliwy obrońca polszczyzny.

KOCHANOWSKI

Rad bym więcej podobnych od ciebie słyszał ciekawości; tylko, proszę, chciej ze mną samą mówić polszczyzną.

MAKAROŃSKI

Toć ja po polsku mówię.

KOCHANOWSKI

Są polskie, są i łacińskie, są i innych języków słowa w twej mowie; przetoż sam nie wiem, jak mam nazwać tę mowę: czy polską, czy łacińską, czy innego jakiego gatunku. To wiem, że gdybym przedtem nie umiał języka francuskiego, włoskiego i łacińskiego, nie zrozumiałbym zapewne twej polskiej mowy, lubo mi niegdyś wielką w polszczyźnie doskonałość przypisywano.

Makaroński, erudyta nie w ciemię bity, przypomina pocie *Carmen macaronicum*: „A przecież i sam coś podobnego uczyniłeś, gdyś pisał ów wiersz: *Est prope wysokum celeberrima sylva Kracovum etc.*”. Kochanowski mógł wyprzeć się autorstwa kompromitującego utworu (jak to zrobił po latach, w obronie sławy czarnoleskiej, Onufry Kopczyński). Ale poradził sobie zgrabniej, wyjaśniwszy Makarońskiemu, że było to „dla żartu i rozrywki drugich”. Teraz z wielkim żarem i wymową broni czystości polszczyzny, z której chce wytrzebić nałóg barbarzyński makaronizowania. Polak saski ma za sobą stuletni z górą obyczaj szlachecki, poparty powagą

szkoły jezuickiej i konwencją cudzoziemszczyzny, którą czasy saskie uczyniły stylem życia zbiorowego i literatury. Kochanowski z inteligencją i pomysłowością, wyposażony dobrym darem argumentacji, usiłuje wyperswadować wszystkim Makarowskiemu wieku XVIII tę „zebranineę” słów, branych żywcem z łaciny i języków nowożytnych. Aż dochodzi do ostatniego skrzyżowania w tym żwawym dialogu:

MAKAROŃSKI

Mogę się z tobą w tym zgodzić, że ludzie starzy i poważni czystą polszczyzną pisać powinni by. Ale młodzi i palestrze barziej ten styl przystoi, który jest z łaciny i makaronizmów złożony.

Kochanowski odpowiada mądrą drwiną:

Jako widzę, chcesz, żeby dwa języki polskie były: jeden dla młodych, dla starych drugi.

W tym właśnie skrócie rozmowy, pod piórem Bohomolca, bo przecież nie Ksawerego Leskiego, w r. 1758, chyba po raz pierwszy od czasów Renesansu, wyraziła się świadomość językowa, narzucająca wszystkim piszącym i mówiącym po polsku poczucie jednego języka narodowego. Świadomość ta zwraca się bardzo ostro przeciw żargonowi językowemu w obu wariantach, typowych dla sytuacji kulturalnej w połowie w. XVIII: przeciw nalotowi łaciny i nalotowi francuszczyzny, które zagroziły czystości rzeczy czarno-leskiej.

Makarowski, śmieszna kukielka wystrugana dłonią żartobliwą Bohomolca, nie jest postacią urojoną. Zaledwie dwa lata temu, „Roku, którego przedwieczna mądrość wcielona światu objawiona 1756”, ksiądz Benedykt Chmielowski drukował część czwartą dzieła *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna*. Tutaj można było czytać duży rozdział pod napisem: *Jezyk polski wielu podszyty językami cudzoziemskimi, osobliwie łacińskim, niemieckim, francuskim etc. z jakiej racyi?* Długi wywód, pełen ponurej erudycji, ukazuje raczej stan faktyczny, aniżeli rozważa przyczyny. „Z tego patet — pisze Chmielowski — że język polski wielu słowami podszyty cudzoziemskimi”.

Prawodawca rodem z „Nowych Aten” nie odkrywa tutaj nowej argumentacji. „Eremita lasów Firlejowskich” (by zostawić Chmielowskiemu jego podpis dziwaczny), „już i tak będąc pracowany”, trzusi się cierpliwie, by uporządkować i usprawiedliwić słownictwo wszystkich panów Makarowskich, których posłuchawszy

chwile Jan Kochanowski, stary mistrz, pyta ze śmiechem niewiary: „Skądś rodem, przyjacielu?”. Trzeba uważnego zestawienia obu tekstów, Chmielowskiego i Bohomolca, by zauważyć jeszcze, że Makaroński czytał najwyraźniej — *Nowe Ateny*. Z tych właśnie tomów opasłych pochodzi jego osobliwa „nauka o języku”, i to zarówno w swoich — żeby tak powiedzieć — ujęciach ogólnych, jak i wszelkich realiach językowych. Odsłaniamy w ten sposób zupełnie dokładny adres krytyki Bohomolca: Makaroński, typowy Polak czasów saskich, czerpie swoją wiedzę o świecie z *Nowych Aten* Chmielowskiego, stolicy nie Attyki, lecz Beocji.

Nowoczesna świadomość językowa polszczyzny rozszerza się wartko, kilkoma strumieniami.

Głównym przeciwnikiem języka literackiego, który w latach stanisławowskich wyrasta na język narodowy, jest ów żargon *Nowych Aten*. Najlepszą broń na niego wziął Bohomolec: szyderstwo. Widzieliśmy, jak potrafi biczować.

W komedii Bohomolca *Paryżanin polski* jeden z bohaterów bawi się literaturą. Oto mała próba jego twórczości. Pisarz amator pracuje nad dziełem literackim:

Choćby ta sublunarna Olimpu fabryka *aliquo fato* blesserowana upadła, to przecież te ruiny ankurazowanego animuszu *non commovebunt*.

Co to jest? Jest to przekład polski (!) wiersza Horacego *Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae...* Tak postępując — przyznajmy: bardzo wolno — literatura polska dopracowała się polskiego Horacego, „przekładania różnych”, w r. 1773.

Czyż trzeba przypominać wspaniałe parodie Krasickiego w rozdziałkach *Przypadków* i w doskonałych oktawach *Monachomachii*, zwrócone przeciw obskurantyzmowi szlachty saskiej, a jednocześnie przeciw pokracznej manierze mowy sądowej, mowy sejmowej, stylu panegirycznego? Niech wystarczy ta jedna strofa *Monachomachii*, skreślona na szyderstwo z retoryki sarmackiej. Wicesgerent przemawia do mecenasa:

Na płytkim gruncie rozbijałych fluktów
Korab mądrości chwieje się i wznosi.
A pełen szczepu wybornego fruktów
Niewysłowioną kiedy korzyść nosi,
Twoich, przeznaczny mężu, akweduktów
Żąda, a pewien, że względy uprosi,
Płynie pod wielkim hasłem, głosząc światu,
Żeś ty jest perłą konchy Perypatu.

Bohomolec, Krasicki — walczą z żargonem uczoneści łacińskiej, która stanowi smutne dziedzictwo szkoły jezuickiej.

W latach następnych ciągną do Paryża — „Fircyk w zalotach”, „Żona modna” i cały ten tłum Szarmanckich, Umizgalskich, Pustaków, we fraczkach, żabotach, małych peruczkach *à la* Ludwik XV, trzymając w rękach zwierciadła, wody pachnące, lornetki, z teatru na teatr, za kulisy, do stołów bilardowych i salonów gry. Za sprawą labusiów, guwernerów, subretek, ten korowód przysypany pudrem zaczyna mówić po francusku i z polszczyzny potocznej czyni żargon polsko-francuski. Adam Kazimierz Czartoryski, gdy go zirytowała ta pstrokata mowa, powiedział jakiemś młodzikowi (jak to powtórzył Michał Czacki, uważny pamiętnikarz epoki): „Panie Józefie, gadajmy lepiej po polsku, bo ja nietęgi Francuz”. I drugiemu: „Francuszczyzny ja już zapomniałem, a WPan jeszcze się jej nie douczył”. Wśród wielu innych tę nową manierę językową przygwoździł najcelniej Niemcewicz w znanej scenie *Powrotu pośta*:

LOKAJ STAROSTY
(*oddaje bilet Podkomorzynie*)

Bilet od Imości.

PODKOMORZYNA
(*czyta*)

Bardzo jestem rozgniewana, że nie mogę udać się na przyjemne Ich śniadanie: głowa źle mi robiła przez noc całą i koszmar przeszkadzał mi zamknąć oko; jestem w strasznej feblesie; skoro będę lepiej, polecę w ręce kochanej kuzynki.

PODKOMORZY
Rozumie kto z WaćPaństwa, co ten bilet znaczy?

PODKOMORZYNA
Kuzynka z francuskiego myśli swe tłumaczy.

PODKOMORZY
„Głowa źle mi robiła”? — co za wyraz nowy!

PODKOMORZYNA
Znaczy *la tête m'a fait mal* francuskimi słowy.

Szyderstwo jest bronią polemiczną, nie argumentacją. Pisarze, rozumiejąc, o co toczy się walka, potrafią uderzyć w ton uczuciowy, nawet w tym wieku racjonalistycznym przekonywająco. Toteż inny wątek kształtowania się ogólnej świadomości językowej stanowi lament na upadek języka, skarga na jego poniżenie.

Naruszewicz w przedmowie *Do czytelnika*, położonej na czele *Dziel wszystkich* Tacyta w r. 1772;

Samiśmy winni temu, że nasz język poszedł w zaniedbanie tak dalece, że rzadko kto dobrze onym mówi w potocznych rzeczach, dopieroż pisze co poważnego w wolnej, czyli związanej mowie. Umieemy to tylko z języka naszego, cośmy się w domu, w szczupłym bardzo osób do nas należących, piastunek, służalców albo czeladnej prostoty obrębie nauczyli [...]. Gadać umieemy, pisać i mówić rzadko kto z nas umie, a to z własnej [...] winy, że sobie szczególnej nauki w wydoskonaleniu się w ojczystym języku przez czytanie i rozmyślanie nie czynieemy.

Krasicki w drugiej księdze *Przypadków Doświadczyńskiego* w r. 1776, ustami mędrca Xaoo:

Wzgarda kraju i języka własnego znaczy letkość umysłu i serce nieprawe. Tym niegodziwym i szkodliwym nader impresjom winniście sami. Porzucacie swój język, a każecie się dzieciom uczyć jak najpilniej cudzych [...]. Cóż stąd za konsekwencja? Oto ta: dziecię widząc, iż własny język nie wyciąga nauki, a cudze potrzebują, mniema je być lepszymi.

Włodek, autor uczonego dzieła *O naukach wyzwolonych w powszechności i szczególności* z r. 1780, z patosem zapożyczonym od humanistów w. XVI:

Bembus te narody, które zaniedbawszy swego języka chwytają się obcych i nimi usiłują gadać między sobą, przyrównywa do głupich synów, którzy matkę własną z domu wyrzuciwszy, przyjęli przychodnią jaką niewiastę i ją sobie za matkę mają. To można mówić o nas, niektórych Polakach. Wygnaliśmy za próg matkę naszą, a obcą jakąś dziwkę przyjęli na miejscu matki. Matka nasza siedzi nędzna na folwarku, między czeladzią i chłopami, a owa gościnna niewiasta siedzi w pokojach między nami, ona z nami u stołu siada, z nami wyjeżdża w rydwanie, z nami na wszelkich biesiadach i zgromadzeniach przy boku jest [...].

Jezierski w *Niektórych wyrazach*, drukowanych pośmiertnie, w r. 1791, pod hasłem *Komedie*:

My języka narodowego tylko zażywali na wewnętrzne potrzeby w życiu społecznym, nigdy go nie pokazując w potrzebach powszechnych towarzystwa, i dlatego kancelarie łacińskie, musztry rejmentów niemieckie, mowy w obradach sejmowych na wpół polskie, teatru po włosku lub po francusku, a zatem gdy Polak po łacinie sądził, srokatym językiem rądził, po niemiecku wojował, po włosku lub po francusku się bawił, więc dla ojczystego języka nie zostało się nic więcej, jak tylko rozmowa jednego z drugim i kazanie w kościele.

Śniadecki w rozprawie *O języku polskim* z r. 1814:

Dziś chcąc nauczyć ucho o słodyczy języka, trzeba słyszeć wieśniaków i włościan w bliskości Jarosławia w Galicji mówiących; a ci więcej nas o przyjemności języka naszego swym mówieniem nauczą, jak wszystkie uczone spory i rozprawy.

Przerwijmy ten łańcuch cytata, którego ogniwa należą do trzech pokoleń pisarzy. Bohomolec, Naruszewicz — wyrastają z tradycji saskiej, którą zrzucają z siebie wraz z habitem mnisim. Krasicki to przedstawiciel bohaterskiej generacji Oświecenia. Jezierski, Śniadecki, związani ze sobą przelotną zażyłością, czerpią wiele z Oświecenia, ale przeżyli zarówno świetność, jak schyłek epoki. Przywołaliśmy ich słowa nie tylko po to, by broniły działaczy i pisarzy stanisławowskich przed zarzutem kosmopolityzmu, nie zawsze zasłużonym. Cały ten chór głosów, nakazów, apelów to echa walki trwającej przez trzydziestolecie Stanisława Augusta o świadomość językową, którą uczeni i poeci Oświecenia pragną rozszerzyć i narzucić narodowi.

W tekstach tych, wycinanych fragmentarycznie, uderza wspólna wszystkim mówiącym świadomość społeczna, że język polski w jego postaci nieskażonej przechowała mowa ludu. Pamiętamy, jak świadczyli tutaj przed chwilą: Naruszewicz, który uczył się polszczyzny „w [...] piastunek, służalców albo czeladnej prostoty obrębie”, Włodek, który wie, że słowo polskie ukryło się „między czeladzią i chłopami”, Śniadecki, który woła: „trzeba słyszeć wieśniaków i włościan w bliskości Jarosławia w Galicji mówiących”!

W ten sposób świadomość językowa Oświecenia szuka swojego dna społecznego, opiera się na mocnym gruncie. Pisarze, którzy umieli rozpoznać i odrzucić makaron polsko-laciński, a później polsko-francuski, dostrzegli z ostrowidztwem uderzającym, że źródła języka polskiego biją z siłą i czystością w mowie ludu wiejskiego, w izbie czeladnej, na folwarku. Instynkt kulturalny polskiego Oświecenia okazał się i w tym rozumowaniu trafny i przenikliwy.

Pokolenie pisarzy stanisławowskich, odróżniwszy słusznie język od żargonu, musiało dokonać jeszcze jednego wyboru: wyboru tradycji językowej. Oświecenie już na wczesnym etapie swojego rozwoju z gniewem i śmiechem przełamało związek nowej literatury z polszczyzną saską, jak jej uczyły *Nowe Ateny*, owa *Akademia wszelkiej sciencyi pełna*, otwarta i uczęszczana przez panów Makarońskich. „Królestwo rozumu” nie dziedziczy nic z okresu ciemnoty. Dopiero my, dzisiaj, z mroków saskich wyprowadzamy pod światło prekursorów Oświecenia.

Któż pod piórem Bohomolca podjął się *Rozmowy o języku polskim* z Makarońskim herbu Wezele (dajmy mu szczodłą ręką ten herb Zagłoby)? Sam Jan Kochanowski z Czarnolasu. Już zatem

w r. 1758 zaczął powstawać ten ważny związek kulturalny, łączący później bardzo organicznie czasy stanisławowskie i Renesans polski wieku XVI. Z pól elizejskich, krainy zbliżeń przypadkowych, igraszki intelektualnej, klasycy wieku XVI przeszli niebawem do drukarni Oświecenia. Jan Kochanowski, Górnicki, Bazylik (jako tłumacz Frycza Modrzewskiego), Szymonowicz, Skarga, Piotr Kochanowski — pojawiają się tłumnie w ramach „planu wydawniczego” czasów Stanisława Augusta w licznych przedrukach i ponawianych raz po raz nakładach. Oto co mówi Bohomolec, dobry wychowawca paru pokoleń szlacheckich, a jednocześnie zamiłowany edytor bogactwa literackiego wieku XVI. Mówi mianowicie:

Po długim lat przeciagu otworzyliśmy oczy. Powróciliśmy znowu do owych czystych źródeł, z których prawdziwe nauki wypływają. Poznawamy już cenę i szacunek dawnych naszych autorów; i którymi niedawno gardziiliśmy, tych doskonałości teraz dziwujemy się.

Minęło niemal pół wieku od owej rozmowy na polach elizejskich. Krasicki otrzymał w lutym 1791 r. wielką skrzynię z Warszawy. Na dziedzińcu zamku w Heilsbergu (Lidzbarku warmińskim) otwierano tę pakę z niemalą ciekawością. To Stanisław August przysłał swojemu pocie popiersie gipsowe Kochanowskiego. Dziś — z historykiem sztuki — możemy powątpiewać, czy był to istotnie Jan, czy może raczej Piotr Kochanowski. Stanisław August przeznaczał dla Krasickiego — Jana, pisarza *Fraszek*. I jeśli nie zdał nawet egzaminu ze starożytności polskich, zdał go wybornie (i nie tylko wówczas) jako krytyk literacki. Jan Kochanowski miał pełne prawo stanąć na zamku heilsberskim, w bibliotece biskupiej. Poeta czarnoleski patronował epoce u jej zarania i schyłku.

Oto suma naszego dotychczasowego materiału: Oświecenie stanisławowskie powzięło świadomość językową w zakresie czystości, bogactwa, piękna języka polskiego. Świadomość ta rośnie w miarę walki, prowadzonej zwycięsko z makaronem łacińskim i francuskim. Pisarze Oświecenia, chociaż przywiązują dużą wagę do spraw warsztatu i cenią rzemiosło literackie, zdołali uzyskać przekonanie, że czyste źródła polszczyzny biją w mowie ludowej, nie zaś w ocembrowanych wodach Le Nôtre'a i Delille'a. Jeszcze epoka przejściowa dokonała słusznego wyboru tradycji językowej. Mowa kosmopolityczna czasów saskich, którą przysnuła owa *suada polona et latina*, poszła do lamusa. Z półek biblioteki Załuskich Bohomolec wy dobył klasyków wieku XVI, dobrych nauczycieli języka.

3

A wreszcie doświadczenia pisarzy!

W pracy codziennej nad dziełem — przystosowując się do wymagań rodzaju literackiego, do treści zmiennej, do osoby adresata czy odbiorcy tekstu — język twórczości Oświecenia poznaje swoją siłę i ustala swój charakter.

W „królestwie rozumu” musi powiedzieć wszystko, „co pomyśli głowa”. Dlatego też literatura Oświecenia już w pierwszym okresie swojego rozwoju przeprowadza podział, dotychczas nieznaną, kompetencji literackich. Z nierównie większą świadomością, aniżeli czynił to pan Jourdain w teatrze molierowskim, zaczyna mówić prozą.

Proza Oświecenia powstaje najpierw na użytek czasopisma i dorasta z wolna do typu periodyku, jaki przedstawia *Monitor*. Jest to proza gawędy, felietonu, listu do redakcji, dyskusji z czytelnikiem. Pisarstwo podobne stanowi doświadczenie literackie, które nie ma w Polsce poprzedników. Dopiero pisarz stanisławowski przechodzi przez seminarium literackie, seminarium prozy. Uczy się w tej szkole rozróżniać opis i opowiadanie, budować dialog, komentarz autorski, nie gubić dzieła w monologu, w dyskursie.

Z pracy w czasopiśmie moralnym rozwija się powieść Oświecenia, zasilana tematyką czasopisma, związana genetycznie z wydawnictwem *Monitora*. Nawet Krasicki, panujący wszechwładnie nad wierszem, potyka się w prozie, uwikłany w trudności składni, jeszcze ciągle staroświeckiej, i w niebezpieczeństwa dialogu. By to stwierdzić, wystarczy otworzyć w miejscu dowolnym *Przypadki Doświadczyńskiego*, a potem utknąć na rozwlekłej gawędzie, którą przy piwie raczy nas ponad miarę Pan Podstoli.

Tutaj literatura stanisławowska zadała sobie trudne ćwiczenie — przekładu. Wynikiem tej pracy, bardzo celowej i niemal zorganizowanej, chociaż na pewno spontanicznej, jest cała biblioteka przekładów z literatur obcych na język polski, w zakresie przede wszystkim powieści klasycznej, ale także współczesnej, drugorzędnej. Patrzymy uważnie na tę półkę biblioteczną, długości kilkunastu metrów bieżących, gdzie stoją: Cervantes, Le Sage, Defoe, Swift, Fielding, Voltaire, Diderot, wszyscy *in octavo*, tłumaczeni na język polski, po raz pierwszy tłumaczeni prozą. Czy należy podkreślać ten stan rzeczy? Tak jest, ponieważ literatura staropolska przyzwyczaiła nas — także w zakresie powieści — do prze-

kładów poetyckich. Przełamując tę konwencję, zastarzałą od czasów Reja, pisarz stanisławowski uczy się sztuki prozy, nierównie dłużej i nie zawsze tak szczęśliwie, jak „sztuki rymotwórczej”. Ale dopracowuje się przecież dobrego rzemiosła. Porównajmy jeszcze raz ciężkie i dość ubogie pod względem zasobów stylistycznych *Przypadki Doświadczyńskiego* — i zwinną narrację, żywy dialog, charaktery, niemal karykatury postaci, jakie daje powieść anonimowa *Polak w Paryżu* z r. 1787, poczytywana długo za dzieło oryginalne. *Polak w Paryżu albo dwutygodniowa w tymże mieście bytność Hrabiego**** jest przekładem (nawet niemal nie przeróbką) drugorzędnej powieści francuskiej Jamesa Rutledge'a *La Quinzaine anglaise à Paris*. I właśnie obniżenie tego dzieła do kategorii przekładu jest miarą ćwiczenia literackiego, jakie pisarz stanisławowski odbywa w pracy nad przekładem. Trzeba to zapisać na dobro całej generacji.

Poezja pierwszego okresu, związana z królem, przy stole czwartkowym, w redakcji Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych, przemawia jeszcze ciężkim komplementem dworskim. Typowy przykład tego stylu daje płaski, masywny panegiryk okolicznościowy spod ręki Naruszewicza, „kochanego Narucha”. To jeszcze widmo nie pożegnane czasów saskich, które straszy co czwartek w przedśionkach zamku warszawskiego.

Założenia dydaktyczne tej twórczości, oczywiste w rozwoju bajki, satyry, listu, eposu heroikomicznego, kształcą język literacki utworu. Wielką zasługę w tym rozwoju ma szkoła Komisji Edukacji Narodowej, której program, „księgi elementarne”, praktyka dydaktyczna usuwają gorliwie zaniedbania szkolnictwa saskiego. Podstawowe wymaganie poetyki klasycznej sprowadza się do jasności, czystości języka. Pod naporem treści uzyskuje on cechy zupełnie specjalne. Epoka — w ramach aforystyki Horacego — łączy rzeczy przyjemne i pożyteczne, ma zatem znaleźć dla tematów pożytecznych formę łatwą, przekonywającą i pełną powabu. Powiedzieć morał, nakłonić do trzeźwości, zalecić właściwy wybór żony, przestrzec przed cudzoziemszczyzną w stroju, życiu, obyczaju, a przy tym znudzić czytelnika — nie wykroczy tak przeciw dobremu smakowi pisarz siedzący przy biureczku rokokowym, na którym kładą poeci zgrabny tomik satyr, bajkę z zamaskowanym morałem, wesołą oktawę *Monachomachii*.

Utwór o założeniu dydaktycznym musi władać językiem obrazowym, pełnym realizmu, bardzo konkretnym, który zostaje w pa-

mięci wraz ze szkicem postaci, sceny, sytuacji. Zgodnie z tą metodą twórczości, poezja Oświecenia ucieka się do zasobów języka potocznego. Nasyca on przede wszystkim satyrę i epos heroikomiczny, rodzaje literackie przyjmujące walkę z wszystkimi wadami stulecia.

Jak zapamiętać najłatwiej fireyka, panicza modnego z Warszawy stanisławowskiej? Chyba tylko w karykaturze Naruszewicza, jak ją szkicuje z nerwem realistycznym fragment poetycki *Fireyk*:

Fireyk grzeczny kawaler, każdy mi powiada.
 Znam go: je smacznie, pije dobrze, wiele gada..
 A na czymże ta grzeczność Fireyka zależy?
 Czy że mu dziwnym kształtem fryzura się jeży?
 Czy że jaki wygwizdże włoski kancik kusy?
 Czy, że winnymi pachnie cały spirytusy?
 Na piętach się wykreca, lata jak sparzony,
 Udając Arlekina z lisimi ogony?
 Czy że się rozwaliwszy grądal na kanapie,
 W przytomności zacniejszych jako wielbłąd sapie?
 Czy że swą przed zwierciadłem piękność rozpościera,
 Cukrowe kartki pisze i sam je odbiera?
 Czy że się w modne suknie coraz stroi ładnie,
 Gładko gra maryjasza, gładziej kartki kradnie?
 Bluzga, co ślina niesie, nie ma w gębie tamy,
 Gorsząc młodzież niewinną i uczciwe damy?
 Czy że z wielkim rękawem, z buczną miną chodzi,
 Przymawia i przeprasza, łże i ludzi zwodzi?
 Bierze wszystko na kredyt, a gdy mu dopieczce
 Pan dłużnik, *incognito* z miasta gdzieś uciecze?
 Czy że się sam powozi? lub gdy zima stanie,
 Trzaska biczem misternie, usiadłszy na sanie?

W sztuce polskiego Oświecenia nie ma Hogartha, który by cienkim rylcem, z intencją satyryczną, bardzo dokładnie, z zamiarem pochycenia szczegółu wysztuchował obyczaj współczesny: promenadę na Krakowskim Przedmieściu, parter teatru w Pomarańczarni, uliczkę Kozią, którą przejechać mogła tylko jedna karetka. Rylec Hogartha (jednak szkoda, że król nie wykształcił żadnego sztycharza-satyryka!) zastępuje pióro poetyckie, które umie użyć dosadnego, grubego wyrazu na oznaczenie gestu, gniewu, impertynencji, krzykliwej, głośnej wesołości. Pełno takich kart, o cechach realizmu językowego, w poezji Oświecenia. Ot, bodaj pyszna scena, kiedy groźny marszałek dworu w odzie *Do bizuna* bierze ochoczo za „byczą skórę”

Wecując na kobiercach młode wiercipięty...

Ale to rubaszmność starej daty. Krasicki wykształcił język intelektualny, ironiczny, panujący bezbłędnie nad składnią poetycką, bardzo stołeczny, unikający słowa, które nie byłoby zrozumiałe „w Warszawie”, a jednocześnie zasilony odkryciem mowy potocznej. Leciutki nalot dialektyczny zacierali mu starannie drukarze Michała Grölla. Poddawszy się dobrowolnie wszystkim rygorom poetyki klasycznej, rymujący wewnątrz zamkniętego zdania, posuwa troskę o przejrzystość aż do kompletnej symetrii językowej, a jednocześnie uzyskuje obrazowość bardzo wyrazistą i umie rozsytać wiersz w żywym, precyzyjnym dialogu:

Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze...

„Królestwo rozumu”, w którym rządzi perswazja dydaktyków i sztuka intelektualna Krasickiego, około r. 1780 poczyną się rysować. Wprawdzie na dworze królewskim, w klimacie oranżerii, w warunkach izolacji artystycznej, kwitnie poezja rokoka, gładka, wymuskana, pełna pomysłów językowych i dowcipu. Czy opiszemy to czarodziejstwo słowa, poezję Łazienek? O ileż łatwiej pójść za radą szambelana Króla Jegomości!

Pióro zostawiam dla Trembeckiego,
Pędzel malarski dla Smuglewicza.

„Królestwo rozumu”, budowane cierpliwie w redakcji *Monitora*, zburzyła teraz walka polityczna, społeczna — i bardzo żywa walka literacka. Rodzaje piśmiennictwa, dotychczas wyraźnie dydaktyczne, doznają przemiany: ogarnia je żywioł sporu, żywioł polemiki. Z satyry obyczajowej przeciw fireykom rozwinęła się ostra inwektywa osobista, zwrócona przeciw wrogowi politycznemu. Wierszem, który specjalizował się poprzednio w obrazku obyczajowym, grotesce towarzyskiej, wstrząsa teraz gniew, uniesienie. Jakżeż zmieniły dziś barwę owe grube wyrazy, pełne dosadności, przy których pomocy rubasznym Naruszewicz osiągnął swój efekt realistyczny! Teraz te same słowa, dawniej śmieszne, dające światłocień humoru, obrażają, znieważają.

Czytajmy wiersz Zablockiego *Do Jezierskiego kasztelana, odgrążającego palem na rękę piszącego paszkwile*:

Rękę moja! nim będziesz przybita do pala
Za śmiałość opisaną złej bandy Foksała;
Nim będziesz, drobna ręko, łbów wielkich współnicą,
W bliskim bardzo sąsiedztwie pala z szubienicą;

Nim będziesz mijających ustraszać przechodni
 Domysłem uczestnictwa wielkiej jakiejś zbrodni,
 Domysłem stąd pozornym, że gdy hetman wisi,
 Gdzie Jezierski, gdzie wszyscy zdradą z nim poblizsi,
 Tam też i ręka inna nie może być jaka,
 Tylko takiego, jak ci, hultaja, łajdaka.
 Ręko moja! stępione pióro twoje zatnij,
 A błazna Jezierskiego dokończ rys ostatni.

Realizm dydaktyczny satyry, który służył poprzednio notatce obyczajowej, korekcie życia towarzyskiego, teraz, pod piórem Zablockiego i Węgierskiego, obnaża kontrasty życia, nawet „na baliu”, rozszerza temat literatury, każe patrzeć pisarzowi na ulicę, miasto, zabawę podmiejską.

I w teatrze podobna przemiana. Może zdziwić na pierwsze spojrzenie, dlaczego Jezierski w *Niektórych wyrazach*, pod hasłem *Komedie* występuje przeciw komedii obyczajowej, która nie podnosi, lecz obniża moralność. To nie powierzchowne moralizatorstwo kieruje krytyką Wulkana Kuźnicy. Jezierski wie, że twórczość dramatyczną nowej epoki, podobnie jak satyrę i powieść, ogarnął żywioł polityczny. Język komedii obyczajowej rozwiązywał zagadnienia dialogu, wyrażał — jak chciał Czartoryski — „plantę, może i intrygę” romansu. Język nowego teatru wiąże przedstawienie z życiem, musi przełamać panującą konwencję. Dlatego w *Powrocie posła* Niemcewicza występuje tak wyraźnie udział języka mówionego. Moglibyśmy całymi scenami tę komedię polityczną z limity sejmowej zestawiać z diariuszem sesji i śledzić, jak Niemcewicz przemawia ze sceny językiem trybuny, językiem publicystyki.

Czyż w teatrze Bohomolca można było przeżyć wrażenie, które Jezierski, „Diogenes w kontuszu”, zapamiętał ze szczególną wyrazistością:

Trafiło mi się raz być w domu na wsi u jednego pana [...]. Żona jego dla zabawy przyjaciół przytomnych grała komedią, w której gdy wyrzekła te słowa: „Ach! ja kocham bardzo wolność” — głos tych wyrazów przeniknął duszę moją.

Język teatru politycznego uzyskał zatem skalę bardzo nową, bardzo szeroką: od słowa mówionego, które protokołuje diariusz sesji sejmowej, aż po patos uniesienia patriotycznego.

Podobne możliwości wypowiedzi zdobywa literatura polityczna. Dawny okres Konarskiego, rozbudowany na wzór skadni łacińskiej,

miał objąć wszystkie elementy rozumowania i przekonać czytelnika dla słuszności wniosku końcowego. Staszic uczy się posługiwać zdaniem krótkim, dobitnym i zupełnym pod względem sensu politycznego, o wartościach najlepszej retoryki. Oto sławny rozdział *Do panów w Przestrobach dla Polski*:

Powiem, kto mojej Ojczyźnie szkodzi.

Z samych panów zguba Polaków. Oni zniszczyli wszystkie uszanowanie dla prawa. Oni, rządowego posłuszeństwa cierpieć nie chcąc, bez wykonania zostawili prawo. Oni zupełnie zagubili wyobrażenie sprawiedliwości w umysłach Polaków. Oni prawo zmienili w cześć formalność, która tylko wtenczas ważną była, kiedy prawo ich dumie, łakomstwu i złości służyło.

A jednocześnie autor *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego* tym samym piórem, które celuje w jasności, argumentacji i oskarżeniu politycznym, potrafi w przedmowie *Do stanu rycerskiego* poruszyć emocje zbiorowe, obudzić dumę, godność, myślenie historyczne:

Wielki Narodzie! Dopokądże w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic więcej po tobie nie zostało, tylko niesława? Nie masz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty kilkanaście milionów ludzi, bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli czekało.

Sobieskich, Chodkiewiczów, Zamoyskich, Bolesławów synowie! Czyliż może być podobieństwo, abyście wy niesławnie zginęli?

W literaturze tego okresu uderza giętkość środków językowych i stylistycznych, które mają wyrazić gniew osobisty i zbiorowy, emocję walki, wręcz pogląd polityczny, przynależność ideową autora. Postawa antyklerykalna pisarza skłania go np. do trawestowania, w polemice z przeciwnikiem, *Biblii* i tekstów liturgicznych. Z Kuźnicy Kolańtajowskiej wychodzi drukiem *Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około r. 1735 napisany przez J.P. Sterne w języku angielskim...* To domniemane dzieło Jezierskiego w szyderych pytaniach i odpowiedziach, wyraźnie przedrzeźniając naukę katechizmu, pokazuje *Rząd polski w tajemnicach odkryty*. Na ostatniej stronie broszury zuchwały autor dorzucił jeszcze parodię *Składu apostołskiego*.

WYZNANIE RZĄDU POLSKIEGO

Wierzę i wyznaję wolność stanu szlacheckiego w Polsce, stworzycielkę nierządu, ucisku, ohydy, która wyzuła chłopów z prawa człowieka, a mieszczanina z praw obywatela; z której poczęło się możnowładztwo panów,

wyrządzające niezgodę, podłość i podział szlachty na partie, idące za duchem szalbierstwa i zuchwalstwa możnych. Wierzę, że król, wyzuty z władzy, należącej do tronu, cierpi przymówki, często nadaremne, o nieszczęściu kraju, których przyczyną jest możnowładztwa przewodzenie. Wierzę, że wojsko, skarb, straż praw i bezpieczeństwo stolicy, podzielone na cztery dostojeństwa, jest przyczyną ucisku, zdzierstwa, prześladowania i niesprawiedliwości. Wierzę w przekupienie senatu i posłów, wierzę w obcowanie ich z postronnymi ministrami i, za porozumieniem się ich łakomstwa, wierzę w zmartwychwstanie cudzej przemocy i nierządu. Wierzę w odpuszczenie krzywoprzysięstwa i zdrady i kiedyś przecie otrzymanie lepszego rządu w Polsce. Amen.

Żeby rozprawić się z konfederacją targowicką i Szczęsnym Potockim, Niemcewicz napisał słynną *Biblię targowicką*, w której z odwagą literacką sparodiował księgi *Genesis*. Oto fragment rozdziału VI, w którym współzawodniczą pomysłowość pisarska i zuchwalstwo ideowe:

A Szczęsny paśł trzodę konfederatów i zagnał trzodę na puszcze i poszedł na górę, zwaną Grodno. I ukazał mu się Kossakowski w krzaku gorejającym, a oto krzak gorzał ogniem, a krzak nie zgorzał. Tedy rzekł Szczęsny: Pójdę teraz, a oglądam to widzenie wielkie, czemu nie zgorze ten kierz. A widząc Kossakowski, iż szedł patrzeć, zawołał nań spośródka onego krza: Szczęsny! Szczęsny! A on odpowiedział: Otom ja, panie. Tedy rzekł: Przystępuj sam, zzuż buty twe z nóg twoich, albowiem miejsce, na którym stoisz, święte jest i będzie wkrótce moim biskupstwem. I zakrył Szczęsny oblicze swe, bo się bał pasterza Kossakowskiego.

U progu trzeciego okresu Oświecenia Jezierski określa w *Niektórych wyrazach* hasło *Pospółstwo*:

Część największą ludzi ubogich i pracowitych zowiemy pospółstwem. [...] według mnie, pospółstwo powinno by się nazywać najpierwszym stanem narodu albo wyraźniej mówiąc, zupełnym narodem. Bogactwa i moc państw pospółstwo składa, i pospółstwo utrzymuje charakter narodów. Pospółstwo rozróżnia narody, utrzymuje rodowitość języka ojczystego, zachowuje zwyczaje i trzyma się jednostajnego sposobu życia.

Mowa pospółstwa jakże mogła przeniknąć do dzieła literackiego w tym wieku Oświecenia, ujętym przepisami poetyki klasycznej? Przeniknęła wszelako. Najpierw do tekstów, które czytał dotychczas raczej historyk, aniżeli historyk literatury: do aktu konfederacji chłopskiej, której „projekt znaleziony na rynku w Tarczynie, po skończonym jarmarku św. Trójcy r. 1767”, a później do *Supliki płacziwej*, zanesionej 8 października 1789 r. do stanów skonfederowanych przez skrzywdzoną gromadę starostwa młodzieżyńskiego. W obu tych dokumentach lament chłopski otrzymał

staranną stylizację, która każe szukać redaktorów pism w grupie postępowych publicystów tego czasu. Ponadto jednak dochowały się licznie już zupełnie nieposzlakowane supliki chłopskie, które malują przejmująco, chociaż ubogimi środkami stylistycznymi, dolę wsi pańszczyźnianej. *Suplika od całej gromady starostwa lubocheńskiego* (w powiecie łęczyckim, z r. 1789) powtarza z wymowną monotonią przymiotnik „nędzny”: „my, nędzni ludzie”. „Nie potrzeba by nam się, ubogim ludziom, rodzić, żenić i umierać — woła suplika — kiedy wiele opłaty dawać potrzeba JW. Probo-szczowi, którym już, nędzni ludzie, wystarczyć nie możemy”. Podpisuje tę załobę 41 gospodarzy „ręką trzymaną”, a więc z rzadka tylko utrzymując pióro.

Język literacki Oświecenia z natury rzeczy nie korzysta z tych zasobów. Jeśli gwara chłopska docierała do literatury, widziano w niej ornament literacki, sposób charakteryzacji komediowej (jak u Bohomolca i innych molierystów), w najlepszym razie cechę kolorytu lokalnego, niby słowo „dobrego dzikusa”, który w Polsce zaczął mazurzyć lub śpiewać piosenki ukraińskie (jak Kozak Zacharenko w sielance dramatycznej Książnina *Troiste wesele*). Zwabiony egzotyzmem podobnego zastosowania gwary, Trembecki pisze swoją *Pieśń dla chłopów krakowskich, przez Wisłę przepływających* na nutę, która pociąga autentyzmem: *Anusia ładna gdy się bawiła*. Ale Szambelan Króla Jegomości przeznacza te układne kuplety — na otwarcie teatru w Pomarańczarni, 6 września 1788. Słoworód ludowy przenika zresztą także do poezji Trembeckiego, pisarza zadziwiającej pomysłowości i siły językowej.

Dopiero trzecia epoka Oświecenia mnoży te fakty i odbiera im znamię szminki teatralnej. Na fali ruchu społecznego, który zapowiada i przygotowuje rewolucję 1794 r., rozumiemy lepiej piosenkę poety-jakobina Jasińskiego: *Chciało się Zosi jagódek, kupić ich za co nie miała...*, zaczerpniętą z folkloru i folklorowi wróconą. Wybuch powstania w Warszawie ma za pobudkę piosenkę ludową, głośną, zawadiacką, śpiewaną hucznie na przedstawieniu *Krakowiaków i Górali* Bogusławskiego. Po egzekucji zdrajców targowickich pobiegła ulicami stolicy, zatrzymując się w zaułkach kościelnych, *Duma dziadów farnych*, której pierwsza strofa odbijała się echem po Wąskim Dunaju:

W Starym Mieście, w tej Warszawie
Dokazują cudów prawie.
Szubienice wystawili,
Wielkich ludzi powiesili.

W piosenkach tych przemawia żywa mowa pospółstwa, jakże odmienna od tonacji *Supliki płacziwej*, od śpiewów operowych Trembeckiego.

Okres trzeci Oświecenia uzupełnia zdobycze językowe trzydziestolecia motywami nowymi, wielkiej siły społecznej. Wiersz polityczny z okresu sejmu czteroletniego stał się teraz odezwą rewolucyjną, niemal afiszem rozlepianym na rogach ulic i placów (jak owe ogłoszenia teatralne z r. 1792, które szydziły okrutnie ze Szczęsnego Potockiego), organicznym elementem walki. Odkrycie folkloru, którego dokonali: Jasiński, Bogusławski, anonimowi poeci insurekcji, przyniosło językowi Oświecenia coś więcej aniżeli nalot gwary, inkrustację poezji cechami dialektycznymi. Właśnie wówczas literatura polska zagubiła miękkość rokoka (jak poprzednio nowotwory Naruszewicza). Poeci odkryli wersyfikację ludową. Język literacki dokonał ostatecznego wyboru na rzecz mowy potocznej, która zagłuszy niezadługo konwencjonalny, płaski język salonu klasycznego. I dla tych także powodów warto czytać zapiski pamiętnikarskie Jana Kilińskiego (z jego nieporadnością, ze spójnikiem „więc” nadużytym ponad wszelką miarę).

Aby uchwycić bogactwo sił językowych Oświecenia, nie wystarczy zatem „pióro Trembeckiego” ani „pędzel Smuglewicza”. Trzeba przywołać tu jeszcze owego anonima, którego twórczość zanotował z goryczą Stanisław August w liście do Kościuszki z czerwca 1794 r. Anonim nie zostawił wiele, ledwie piosenkę, śpiewaną na rynku i w ciemnych gospodach Starej Warszawy. Była to „piosenka takowa”:

My Krakowiacy,
Nosim guz u pasa,
Powiesim sobie
Króla i prymasa.